



Pokój pana Kiriyamy

Witold Szabłowski

Pani Ania jedna Izrael z Japonią. Problem w tym, by jednych spiąć, a drugich rozluźnić. Nasz reporter podpatrywał, jak to robi

Lada dzień stareńki Japończyk rozpali w Jerozolimie dwa wielkie ognie. Ramię w ramię z nim staną prezydent i premier Izraela. Setki tysięcy Japończyków będą słuchać, jak staruszek przeprasza za ich udział w II wojnie światowej. Uroczystość organizują Polacy.

Jak pan ambasador zalecał ostrożność

Mnisi z Agon Shu oprowadzają mnie po swojej świątyni w Kioto. Są ogoleni na lyso, mają tradycyjne stroje i ciepłe, łagodne spojrzenia. Traktują mnie z wielkim szacunkiem. Jestem dziś gościem ich kanchu – mistrza. Czyli pana Kiriyamy.

Seiyu Kiriyama wywołał dotąd dwa trzęsienia ziemi.

Z pierwszym było tak. Kanchu kazał wyznawcom usiąść przed telewizorami. Sam zasiadł przed kamerą w swoim supernowoczesnym studiu telewizyjnym. Wynajęty satelita transmitował program na całą Japonię. Mistrz wyciągnął ręce i powiedział: – Wysyłam wam

swoją moc. Ziemia w całej Japonii lekko drgnęła. W kilku oknach poleciały szyby. Był początek lat 90.

Potem pan Kiriyama znów oddał się medytacji i pracy. Jeden cudzik wykonał tylko na prośbę rządu dotkniętej wielką suszą Mongolii. Po jego modlitwie spadł długo oczekiwany deszcz.

Drugie trzęsienie nie było zamierzone, a zaczęło się, gdy w 2006 roku pan Kiriyama zapragnął pomodlić się w Auschwitz. Chciał odmówić buddyjską modlitwę, która pomaga duszom zagubionym w zaświatach. A potem rozpalił dwa święte ognie Goma – symbole mądrości Buddy. Nie spodziewał się większych problemów. Ognie Goma płonęły już pod wieżą Eiffila i na gruzach WTC w Nowym Jorku. Seiyu Kiriyama spotykał się i korespondował z Janem Pawłem II. Od lat jeździ po świecie, by modlić się o pokój. Nie mógł przypuszczać, że nagle w Polsce wszystko będzie się trząść.

A jednak. Zaczęło się od tekstu w „Super Expressie”. „Morderca sekta w Auschwitz” – walił po oczach tytuł. „Czy w miejscu uświęconym krwią milionów guru odprawi swe pogańskie rytuały?” – pytała bulwarówka.

W artykule stało czarno na białym, że Agon Shu chce znieważać były obóz koncentracyjny. I że członkiem sekty był „najniebezpieczniejszy sekciarz świata” Shoko Asahara. Ten sam, którego sekta Najwyższa Prawda w 1995 roku w tokijskim metrze zabiła kilkanaście osób i zatrula kilka tysięcy.

O groźnej sekcje zaczęły pisać inne media. Na reakcje nie trzeba było długo czekać. Dyrektor Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau zabronił modlitwy na terenie byłego obozu. Nie przyjął też pieniędzy darowizny, którą Japończycy chcieli złożyć na potrzeby muzeum.

Polski ambasador w Tokio Marcin Rybicki zalecił zachowanie w relacjach z Agon Shu „daleko idącej ostrożności”. Posłowie PO Paweł Graś i Janusz Chwierut napisali do premiera Marcinkiewicza: „Aktywność organizacji Agon Shu może naruszyć powagę miejsca, jakim jest były KL Auschwitz-Birkenau, oraz wywołać kolejny międzynarodowy skandal”.

– Byliśmy w szoku – mówi dziś Noriko Terasawa, bliski współpracownik pana Kiriyamy. – Modliliśmy się w wielu miejscach na świecie. Pierwszy raz spotkało nas coś takiego.

Jak pani Garwolińska broni Japończyków

W eleganckim biurze tuż obok Kancelarii Prezesa Rady Ministrów zadzwonił telefon. Była wiosna 2006 roku.

Półtora roku później szukam tego biura. Mam spory problem. Na drzwiach nie ma tabliczki. Firma – tłumaczka – nie potrzebuje reklamy. W środku fotele ze śnieżnobiałymi skórzanymi obiciami.

Szefowa Anna Garwolińska żyje z kryzysów. Konkretnie: z zarządzania nimi. Wygaszania i dbania, by dobre imię klienta ucierpiało jak najmniej. Skończyła aktorstwo, pracowała jako dziennikarka, między innymi w „Teleexpressie”. Potem z ramienia Ministerstwa Przekształceń Własnościowych jeździła wygaszać strajki w zakładach, które miały być prywatyzowane. Od kilkunastu lat jest na swoim. Firma Glaubicz Garwolińska Consultants wprowadzała do Polski Coca-Colę i Nestlé. Robiła słynną kampanię społeczną „Narkotyki – olej to”. Aż weszła w kryzysy.

Siedzę w tym tajemniczym biurze i popijam herbatę. Anna Garwolińska: – Robie-